

Nr. 9. Poznań, dnia 1 Marca 1879. Rok II.

GAŁĄZKA JAŚMINU.

Komedya w jednym akcie przez Zygmunta Przybylskiego.

(Ciąg dalszy)

SCENA VI.

Dyonizy — Stefania.

Dyonizy.

Raz już mogłabyś ukończyć swoje pamiętniki....

Stefania.

Ty tego ojcze nie rozumiesz... Ale mniejsza o to. Chcę z tobą pomówić. Właśnie przed chwilą napisałam to w moim pamiętniku. Nikt nam nie przeszkadza — a więc usiądź i posłuchaj mnie...

Dyonizy.

Jak widzę, to zanosi się na długą dyskusyą — a szkoda czasu...

Stefania.

Ojcze! to rozmowa zbyt wielkiéj uwagi!

Dyonizy *(siadając blizko Stefanii.)*

A więc słucham cię — słucham...

Stefania.

Wiadomo Ci, mój ojcze — że doszłam już do tego wieku, w którym mam prawo żądać od ciebie...

Dyonizy *(przerywa.)*

„Abyś mnie wydał za mąż.“ Słyszałem to z ust twoich pięć razy. Ostatni raz w zeszłym roku, kiedy to sądziłaś, że pan Krzysztof zakochał się w tobie...

Stefania.

Bo tak było w istocie — zapisałam to zresztą w rozdziale dwudziestym czwartym... zaraz się przekonam *(przewraca kartki)* o... rozdział dwudziesty czwarty... czytaj ojcze...

Dyonizy.

No — to jeżeli wszystko w twoim pamiętniku z taką prawdą pisane....

Stefania.

Ojcze! A więc jestem już w tym wieku....

Dyonizy. *(przerywa)*

Ale znam go... znam...

Stefania.

Ponieważ zaś mój ojciec zapomniał o swoich obowiązkach — postanowiłam ja — ja sama pomyśleć o sobie: Idę za mąż!

Dyonizy.

Fiu, fiu — a to co znowu...

Stefania.

Idę za mąż!..

Dyonizy.

No już słyszałem — moja Muza zejdzie z Olimpu, aby zakosztować ziemskiego owocu...

Stefania.

Decydując się nareszcie połączyć węzłem małżeńskim z człowiekiem, którego pokochałam i w którego wzroku dostrzegłam także pewien gatunek sympatyi, postanowiłam wejść w świat nie jako uboga dziewczyna — ale...

Dyonizy *(przerywa jéj)*

Przepraszam Cię, moje dziecko — że ci zrobię małą uwagę. Ten wyraz dziewczyna, nieco fałszywie brzmi w ustach twoich — powiedz kobieta!

Stefania *(powstając)*

Ja nie jestem kobietą — ja nią chcę być!

Dyonizy.

A to znowu co innego. A zatem chcesz wejść w świat jako osoba...

Stefania.

Jako dziewczyna — niezależna nawet od swojego męża. Żądam posagu!

Dyonizy.

Czy to już wszystko?

Stefania.

Tak wszystko... zresztą zobaczę w kajecie, czy jeszcze o czem nie zapomniałam — *(patrzy do kajetu —)* tak już wszystko. Wiem, że nie jesteśmy tak bogaci jak Laura, chcę

jednak wiedzieć ile wynosi mój majątek — ażebym się mogła zastósować do mojego męża....

Dyonizy.

Twego męża... Jakto więc ci się już nawet oświadczył?... Twoja pewność zadziwia mnie..

Stefania.

Formalnie jeszcze się nie oświadczył... ale dał mi wiele dowodów, po których sądzić mogę, że nie jestem mu wcale obojętną...

Dyonizy.

I któż to taki — jak się to stało — kiedy? gdzie?

Stefania.

Jak — kiedy i gdzie — dowiesz się o tem mój ojcze — wkrótce...

SCENA VII.

Stefania – Dyonizy – *(wchodzą z lewéj strony:)* Laura i Jadwiga *głębiéj:* Andrzéj – Służący.

Służący.

Pan Andrzej *(wchodzi Andrzej — wita się w głębi z paniami).*

Stefania.

W rozdziale trzydziestym zapiszę moje wyznanie miłości — rozdział trzydziesty pierwszy poświęcę małżeństwu — *(stając z powagą — opiera się na kajecie)* Rozdział trzydziesty drugi —: stanowisko moje jako żony, matki, obywatelki i literatki.

Andrzej *(do Laury)*

Jak pani widzi, nie spóźniłem się ani o sekundę.

Laura.

Jesteś pan godzien pochwały — punktualność jest piękną zaletą...

Andrzej.

A — pan Dyonizy — kochany nasz wujaszek. Witam panią, panno Stefanio...

Stefania.

(Kłania mu się obojętnie) (n. st.) Nieznośny człowiek.

Andrzej.

Prawdziwie podziwiać panią należy — jéj małe drobne paluszki noszą na sobie zawsze ślady ciągłéj pracy. Czy wolno zapytać nad czem pani pracujesz? A może to ma być tajemnicą, w takim razie nie chcę zdzierać zasłony.

Stefania.

To co piszę wkrótce nie będzie żadną tajemnicą... to mój pamiętnik!

Dyonizy *(z ironią)*

Coś na kształt pamiętników szatana.

Stefania.

Ojcze!

Dyonizy *(rzucając gazetę, którą wziął do ręki)*

Ale bo mnie to irytuje...

Andrzej.

A panie Dyonizy — nie godzi się żartować z pracy kobiety... któż to wie, panna Stefania może kiedyś jak druga Lady Russel zechce rozwięzywać kwestyą uprawnienia kobiet...

Laura *(cicho do Jadwigi)*

Spojrz na niego... i cóż...

Jadwiga. *(t. s.)*

Wszak go znam...

Laura.

Oczekujemy jeszcze na pana Zdzisława.

Andrzej.

Zapewne wkrótce go zobaczymy — dom pani ma dla niego od pewnego czasu siłę magnetyczną...

Laura *(n. st.)*

Gdybym była tego pewną...

Stefania *(n. st.)*

Naturalnie dał mi to poznać...

Dyonizy *(patrząc na zegarek)*

Ach – żeby jak najprędzéj przyszedł — zaczynam być głodnym...

Laura.

(d. s.) Muszę ich zbliżyć koniecznie nigdy — nigdy nie wyrzeknę się Zdzisława. — *(do Andrzeja, który siada obok niego)* Panie Andrzeju, czy zapomniałeś już o naszéj wczorajszéj rozmowie?

Andrzej.

Nie zapominam nigdy rozmowy z piękną kobietą.

Laura.

A więc?

Andrzej.

Obawiam się — jeżeli przegram?

Laura.

Dobry gracz nie powinien obawiać się przegranéj...

Andrzej.

Ale nie w grze z kobietą..

Laura.

Wszak gramy w otwarte karty. *(wskazując na Jadwigę, która w głębi sceny stoi zamyślona)* Spojrz na nią... jaka smutna... zamyślona...

Andrzej.

Znam powód tego smutku... domyślam się... panna Jadwiga kocha — ale – nie mnie...

Laura.

Zapewniam pana, że serce jéj nie jest zajęte. Czy pan straciłeś już nadzieję?...

Andrzej.

Mój Boże, czemże są nasze nadzieje — kiedy młodość ucieka...

Laura.

Spotwarzasz się pan... radzę ci.. zbliż się do niéj.. przemów....

Andrzej.

Przemówię... ale kładę jeden warunek...

Laura.

Warunek?...

Andrzej.

Tak jest...

Laura *(z uśmiechem)*

I jakiż to warunek...

Andrzej.

Czy przyrzekasz mi pani .. spełnić moje życzenie... w przypadku.. gdy konkury nie powiodą się?

Laura.

Jeżeli to odemnie zależeć będzie... przyrzekam... Ale cóż to takiego... jestem ciekawą...

Andrzej.

Dowiesz się pani o tém... wkrótce... *(wstają – Laura przechodzi do fortepianu—gra— Andrzej z Jadwigą idą na przód sceny —)*

Dyonizy.

Cóż ty dzisiaj tyle piszesz?

Stefania.

Spowiedź z dnia dwudziestego czwartego sierpnia — po raz pierwszy dałam mu poznać, że go kocham.... ach ileż materyału!

Dyonizy.

Znieść nigdy nie mogłem widoku piszącéj kobiety — a Pan Bóg obdarzył mnie córką, która cały dzień gryzmoli...

Stefania.

Ojcze — wyrażaj się parlamentarniéj.

Andrzej (*do Jadwigi.*)

Pani marzyłaś?...

Jadwiga.

Jeżeli marzeniem to nazwać można. Nie wiem doprawdy zkąd wzięło mi się dzisiaj to dziwne usposobienie — a jednak przeczuwam coś złego... O byłoby to zbyt gorzkie przebudzenie po dniach szczęścia... Powiedz mi pan, co Laura z panem mówiła... co masz mi powiedzieć?..

Andrzej.

Złą nowinę... chcą nas połączyć.

Jadwiga.

A pan?

Andrzej.

A pani — czy mnie kochasz?

Jadwiga.

Nie... Ale nie gniewaj się pan za moję otwartość.

Andrzej.

Gniewać się? broń Boże — wiem, że kochać mnie pani nie możesz — ale zależy mi na twoim szacunku i twojéj przyjaźni. Nasze lata, nasze temperamenta i usposobienia nie dopuszczają w twem sercu silniejszego dla mnie uczucia. Bardzo to naturalne — że mnie chodzi więcéj o młodą jak ty panienkę, niż tobie o starego bywalca jakim ja jestem. Dlatego podaj mi pani rękę na znak przyjaźni — i ufaj mi... Wiem, że kochasz pani Zdzisława.

Jadwiga.

Tak kocham go... i powiedz pan, jak nazwać taki czyn, gdybym kochając innego — panu oddała mu rękę...

Andrzej.

Byłby to rodzaj wędrówki uczuć.... niestety — dość często powtarzającéj się w dzisiejszych czasach... Czy pani Laura wie o téj skłonności?

Jadwiga.

Powiedziałam jéj wszystko — dlatego tym straszniejszym wydaje mi się jéj zamiar połączenia nas — i gdy pomyślę, dlaczego chce to uczynić... zamiera we mnie wiara w ludzi i w ich uczciwość...

Andrzej.

(*d. s.*) Przekonam się. (*gł.*) Bądź pani dobréj myśli... (*m ówi daléj po cichu*):

Laura (*wstaje od fortepianu*)

Porozumieli się — ściskał jéj rękę... Jadwiga wzruszona, a on z uśmiechem na ustach... dlaczegóżby nie mieli się pokochać... I cóż droga Jadwiniu?

Jadwiga.

Nigdy! Andrzej nie będzie nigdy moim mężem!

Laura.

Co?!

Dyonizy (*do Andrzeja*)

Nie zbliżaj się pan do niéj i nie przemawiaj — bo zaraz wyznaczy na to osobny rozdział.

Stefania.

Żartuj sobie mój ojcze — pamiętnik ten niezawodnie uwieńczy moje imie...

Andrzej.

Żądza sławy jest arcychwalebną — wierzysz pani w nią tak silnie jak Zdzisław w swój talizman...

Laura. (*szybko*)

Talizman?

Stefania (*tak samo*)

Jakiż to talizman?

Andrzej.

(*d. s.*) Co i ta także?.. (*gł.*) gałązka jaśminu...

Laura (*z uśmiechem*)

Gałązka jaśminu?.. — mówżeż pan... jestem niezmiernie ciekawą...

Stefania.

Ach — i ja także...

Andrzéj.

Obawiam się jednak... Zdzisław nie lubi, aby zdradzać jego tajemnicę...

Laura.

Możesz pan być spokojnym... opowiesz ją jego najlepszym przyjaciołom...

Stefania.

Tak... nikt nie powtórzy... ja to tylko zapiszę w moim pamiętniku... (*d. s.*) prześliczny materyał... poezya!

Dyonizy.

Jest!... a ona zaraz występuje na plac boju ze swoim pamiętnikiem.... Moja droga zapewniam cię, że potomność chętnie wyrzekłaby się twego pamiętnika... gdyby widziała na jakie tortury moralne wskazujesz swego ojca....

Laura.

Panie Andrzeju,.. czekamy...

Andrzéj.

Jak paniom wiadomo Zdzisław... jest nieco poetą!

Stefania.

Tak... dostrzegłam to... przed potęgą mojego pióra i talentu nic się nie ukryje. (*z żalem*) Szkoda tylko, że on nie pisze pamiętnika.:.

Dyonizy.

Jak zostanie starym kawalerem, to kto wie, może zechce zakosztować tego chleba....

Stefania.

Ojcze!...

Andrzéj.

Ze wszystkich kwiatów — najulubieńszym jest dla niego kwiat jaśminu... Jego matka lubiła także ten kwiat — to też na grobie jéj corocznie na wiosnę... zakwita jaśmin... biały jak śnieg jaśmin... jaśmin, w który wiara u niego jest tak daleko posuniętą, że wierzy, że tylko ta kobieta szczęście mu przyniesie, z któréj rąk otrzyma gałązkę jaśminu... Może to dzieciństwo... z jego strony... nie przeczę... ale to pewna, że wiary téj nic osłabić nie zdoła....

Jadwiga (*d. s.*)

Zaczynam tracić nadzieję...

Laura.

Ależ to doprawdy dzieciństwo... zkądżeż jaśmin?...

Andrzéj.

Ha widocznie ma jakąś tajemniczą władzę...

Stefania (*n. s.*)

Muszę to natychmiast zapisać w moim pamiętniku... Gałązka jaśminu...

Dyonizy (*patrząc na nią*)

Nie — to nie do zniesienia... wolę tego nie widzieć... A cóż to kichnąć nikomu nie wolno, aby zaraz tego nie zapisała dla potomności... skaranie boskie — po co ja ją kazałem uczyć pisać... (*wychodzi.*)

SCENA VIII.

Laura — Jadwiga — Stefania — Andrzej — Służący — Zdzisław.

Służący.

Pan Zdzisław.

Stefania.

Rozdział trzy... (*urywa, rzuca pióro z pospiechem*)

Laura (*zrywa się*)

A...

Jadwiga

Boże!...

Andrzej (*n. st.*)

Zadrżała... zarumieniła się... a ta nawet pióro rzuciła... To istna epidemia w jednéj rodzinie... (*wchodzi Zdzisław*)

Andrzej.

Przybywaj, przybywaj kochany Zdzisławie... czekamy na ciebie z niecierpliwością i utęsknieniem...

Zdzisław (*do Laury*)

Byłożby to prawdą?.. (*kłania się Jadwidze i Stefanii*)

Laura.

Mówiliśmy o panu... strzeż się... pan Andrzej w nieobecności pańskiéj obmawiał cię...

Stefania (*d. s.*)

Jaśmin... Wiem co mam uczynić (*chce wyjść*)

Zdzisław.

Jakto pani nas opuszcza....

Stefania.

(*n. st.*) Biedny... zmartwił się, że pozbawiony będzie mojego widoku (*gł.*) Ojciec mnie potrzebuje... wrócę niebawem.. (*bierze kajet: pióro i wybiega*)

Zdzisław.

(*zbliża się do Jadwigi — Andrzéj w środku sceny z Laurą.*) Widzę smutek na twarzy pani...

Jadwiga.

Miałam migrenę... ale to już przeszło...

Zdzisław.

Cierpienia pani sprawiają mi wiele przykrości...

Jadwiga.

Gdybyś je pan znał wszystkie!

Zdzisław.

Pragnąłbym wszystkie usunąć. Ofiaruję pani szczerego przyjaciela... czy przyjmiesz go pani?

Jadwiga.

Nie odrzuca się nigdy szlachetnie ofiarowanéj przyjaźni...

Zdzisław.

I gdybym pani powiedział: dozwól mi dzielić wszystkie swoje troski i smutki — dozwól mi pocieszać się...

Jadwiga.

Odpowiedziałabym, że zadanie zbyt trudne i niebezpieczne...

Zdzisław.

Tem większy tryumf, jeżeli spełnię je godnie.

Jadwiga.

Prawda ale wówczas stałabym się pańską dłużniczką... gdzie pan szukać będziesz nagrody za tyle poświęceń i trudu?...

Zdzisław.

W sercu pani...

Laura (*która na nich patrzyła n. s.*)

Nie wytrzymam.... o zbyt drogo okupuję tę miłość (*gł.*) Panowie — może przejdziecie do sali bilardowéj... za chwilę będziemy wam służyć...

Andrzej.

Skazujesz nas pani na banicyą?!

Zdzisław.

Któréj poddać się musimy z przykrością... pocieszać się jednak będziemy, że nie będzie trwać długo.... chodź Andrzeju (*wychodzi na prawo.*)

(Dokończenie nastąpi.)

KLARA.

Powieść

Pauliny z L. Wilkońskiéj.

(Ciąg dalszy.)

Pan Albert Złotawiecki powrócił i zaraz zjawił się u Trzebiewskich, przyjęty uprzejmie a nawet z radością. Przychodził wieczorem: Klara mu grała, i lubił jéj słuchać i sam śpiewał wcale dźwięcznym barytonem a umiejętnie różne ładne piosenki — lekceważąc przytem swój talent, co większego jeszcze dodawało mu powabu. W teatrze zawsze był w ich loży

Dnia pewnego przyszedł pod wieczór i przyniósł Klarze parę świeżych, literackich utworów. Lucyana w domu nie zastał. Zawiązała się ożywiona rozmowa, bo Albert miał szczególną pod tym względem wprawę — zwolna jednakże niby w zamyślenie wpadał, z którego wyrywał się zaraz, lecz i znowu podlegał mu mimowolnie. Paweł wniósł lampę. Klara powstała dając mu polecenia jakieś. Albert opuścił na dłoń czoło i spochmurniał widocznie. Gdy odwróciła się znowu i przy stole usiadła, gość uniósł głowę i jak gdyby się otrząsł z czegoś, co go tłoczyło, coś tam zagadał. Poczem powstał. Klara spojrzała, bo nie chciała, ażeby odszedł: może to nawet z jéj wzroku wyczytał, bo spotkały się ich oczy. Kawaler westchnął z lekka.

— Kiedyż pan myślisz do Warszawy wyjechać? zapytała, ile, że przed trzema dniami o tym wyjeździe był wspominał.

— Kiedy?... Do Warszawy... — wymówił przeciągle i przystanął. — Nie wiem pani — potarł ręką czoło — jakoś dobrze mi tutaj... że i w Warszawie tak nie będzie — dodał ciszéj.

Klary serce zadrgnęło i to, jakby w romansie. Nie wiedziała, co mówić daléj. — Albert usiadł opodal. Milczeli przez chwilę oboje.

— Nie przypuszczałem nigdy, by P. tyle pociągać mnie mógł — zagadał — dziś tutaj wszystko przedstawia mi się wdzięczniéj...

Drzwi w przedpokoju stuknęły i Lucyan wszedł do salonu. Po raz pierwszy byłaby Klara wolała, gdyby opóźnił się nieco i intrygowało ją, coby pan Albert był powiedział więcéj.

Albert ożywił się nagle na widok Lucyana, który mu był rad bardzo. Potém chciał odejść, lecz pan domu zatrzymał go na herbatę. Po chwili gość prosił, by pani Klara na fortepianie zagrała.

— Zagraj, Klarciu, zagraj! zachęcał ją małżonek — pan Złotawiecki lubi twoją muzykę. A wszakżeż i on będzie w obowiązku zaśpiewania nam.

— Byłbym chętnie temu powolny — wtrącił kawaler — ale dziś nie jestem przy głosie i jakoś nie mam usposobienia.

— Znajdzie się to! zagraj tylko Klarciu coś takiego, co pan Albert lubi.

Kawaler podał jéj rękę i zaprowadził do pianina, usiadła. Pomyślała niby i zagrała jakąś kompozycyą na motywa z *Marty*. Poczem Albert śpiewał — a był przy głosie i usposobienie się znalazło.

W ciągu wieczoru przypomniał sobie, że ma tomik ślicznych poezyi, który przynieść pani Klarze zapomniał.

— Dostawię je pani jutro w południe — dodał uprzejmie.

— Dziękuję! Klara skinęła mu wdzięcznie.

Po herbacie Albert jakąś poezyą z *dziennika* przeczytał: tkliwą i poetyczną prawdziwie — a ślicznie czytał, że aż niby chwytał za duszę.

Późno już było, gdy się pożegnał, po wieczorze bardzo mile spędzonym. —

Klara zanim usnęła, powtarzała sobie każdy wyraz jego: P. go pociągnął, dobrze mu tu było... że i w Warszawie tak nie będzie się bawił. Jakiż to był urok w tych słowach. Nie oglądała się na nic więcéj. Nie lękała się ani o swoje serce, ni też myśli nie podjęła: że nie godzi się z jego igrać sercem! Byłaby sobie nawet powiedziała, że jest zupełnie pod tym względem niewinna.

— Nazajutrz czekała go około południa: ubrała się ładnie i raz po raz przed zwierciadłem stanęła. Nawet i czytać nie mogła. Po razy kilka nawet i oknem wyjrzała... Dochodziła pierwsza, a jego nie było! Skwasiła się. Podjęła książkę, by czytać — ale odbiegały myśli. Powstała znowu i przed zwierciadłem stanęła. Posłyszała w przedpokoju stuknięcie — i rzuciła się na najbliższy fotel. Wszedł Paweł z listem.



Ojców.

— Od kogo? zapytała.

Od pana Złotawieckiego. — Lokaj czeka na odpowiedź.

Klara zapłonęła i uderzyło jéj serce. Otworzyła wonny, elegancki, pełen *chic*'u liścik i przeczytała: zapytywał ją w nader grzecznych wyrazach, czy zna *Revue des deux mondes* z przeszłego roku, bo właśnie pisze do swojego rządcy i kazałby wszystkie przywieźć zeszyty. Prosił o słówko odpowiedzi. Zapłonięta, mile pomięszana, przy sekretarce usiadła. Wybrała ładny arkuszyk i kopertę, doskonałe piórko, i napisała:

„Nie znam *Revue des deux mondes* z ubiegłego roku, i będę za nie wdzięczna. Dziś będziemy w teatrze.

K. T.“

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pamiętnik

Rajmunda Bronikowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Gdy już organizacya batalionu do końca dochodziła nadjechał Józef Gajewski. Chciałem mu oddać dowództwo batalionu a sam do Warszawy wrócić, lecz prosił, abym się zatrzymał aż on nie wróci, gdyż jechał do Warszawy. Radziłem mu, żeby wyrobił sobie dowództwo całego pułku, szczególnie że większa część pułku składa się z ochotników Poznańskich. Nim Gajewski wrócił, nadszedł rozkaz z Warszawy, ażeby z organizowanego batalionu przysłano jednę kompanią do skompletowania starych pułków. Tą wiadomością nie bardzo zadowolniony zostałem, postanowiłem wybrać ludzi zdatnych z batalionu i sam z nimi pomaszerować, co téż uczyniłem; zostawiwszy starszym oficerom dowództwo nad pozostałymi, sam pomaszerowałem. — Przybywszy do Konina dla wypoczynku, dzień tam się zatrzymałem. Byłem na obiedzie u komisarza powiatowego, blizkiego kuzyna mego Józefa Bronikowskiego; wśród obiadu dano mi znać, iż z Warszawy przybył pułkownik. Przeprosiłem gospodarza i pospieszyłem. Zastałem pułkownika Paszkiewicza na dowództwo pułku tego samego, i zaraz wydał rozkaz aby ten oddział, który prowadziłem, wrócił do Pyzdr. Tego samego dnia wrócił i Gajewski, lecz nie w randze pułkownika tylko podpułkownika do tego samego pułku. Skoro się o tem dowiedziałem, oświadczyłem pułkownikowi Paszkiewiczowi iż zastepuję Gajewskiego a skoro on tu przybył, ja się oddalam i komendę oddaję, gdyż dałem słowo Gajewskiemu, że aż do jego powrotu zatrzymam się. Pułkownik nie chciał na to przystać i koniecznie nalegał, abym został przy pułku, do czego się i Gajewski przyłączył. Nie mogąc się oprzeć przystałem na zostanie, w ten sam czas przybył Bogusławski z nominacyą na majora do tego pułku, za przybyciem jego pułkownik został w ambaras wprawiony. Widząc to chociaż byłem mianowany od Gen. Chłopickiego majorem, oświadczyłem pułkownikowi, iż słowa, że pozostanę nie cofam, to sobie tylko zastrzegam, że 5téj kompanii dowództwo wypraszam dla siebie na co pułkownik przystał i dodałem, że ustępuję pierwszeństwa majorowi Bogusławskiemu, kompanią 5tą zaś z tego powodu sobie wymówiłem, że ze samych ochotników poznańskich się składała, żołnierze mieli zaufanie we mnie i nie chcieli mnie opuścić.

Pobywszy w Pyzdrach, dostałem rozkaz wyruszenia z całem pułkiem ku Warszawie. Przyszedłszy do Konina, Bronikowski ten fawor dla mnie okazał, że kazał wydać dla mego oddziału zapas koszul i trzewików, czego drugie oddziały nie dostały dla braku zapasów. Muszę tu oddać, iż gdy wszedłem z pułkownikiem w układy zostania w pułku, zastrzegłem sobie by mi wolno było trzymać konie i bryczkę. Skorzystałem z téj sposobności, że zapas koszul i obuwia kazałem do bryczki wpakować, zachowując sekret przed drugiemi oddziałami.

Nie mogliśmy już zdążyć na batalią pod Grochów, pomimo spiesznego marszu; przybyliśmy do Brzezin gdzie kilka dni się zatrzymalim, niż do Warszawy doszliśmy.

W Warszawie staliśmy czas niejakiś, z Warszawy wyruszyliśmy ku Siedlcom lecz w Brzezinach za Warszawą zatrzymaliśmy się. Po rozproszeniu pod Kałuszynem pułku kaliskiéj jazdy, staliśmy w Nadarzyniu i Piasecznie. Pułkownika jadąc do Warszawy prosiłem, aby się wywiedział o pułku jazdy kaliskiéj, gdyż byli w nim syn mego brata Romana Alojzy i szwagier jego Wincenty Gątkiewicz, o których chciałem się dowiedzieć; było to po spotkaniu pod Kałuszynem, gdy pułkownik wrócił z Warszawy, i ja przyjechałem z obrachunkami do sztabu pułkowego. Zastawszy go w złym humorze nie chciałem go zapytać, lecz sam zaczął złorzeczyć sobie, że się w tak gałgański pułk kaliski dostał, słysząc to, nie mógłem się wstrzymać, aby sie nie ująć i nie odezwać „niech pułkownik nie krzywdzi pułku i dodałem, iż choć ja sam nie jestem z Kaliskiego, przykro mi słyszeć wyrazy na Kaliszanów bo ten pułk obchodzi nas! Pułkownik wstrzymał się i dopiero zaczął opowiadać o zdarzeniu zaszłem pod Kałuszynem, i o rozproszeniu pułku kaliskiéj jazdy. Na to ja mu odpowiedziałem, że ten pułk z samej młodzieży kaliskiéj, po największéj części z obywateli nie doświadczonych w ćwiczeniach wojskowych złożony więc ich winić nie można, jeżeli jaki błąd zrobili, to dowódzcy podlegają naganie za złe prowadzenie i dodałem, że miałem chęć wyjść z tego pułku, lecz teraz daję słowo, dopóki pierwsze spotkanie naszego pułku z nieprzyjacielem nie nastąpi nie wystąpię, i przekonamy się czy Kaliszanie potrafią się bić lub nie, bo to zależy mem zdaniem głównie od naczelnie prowadzących oficerów nie od żołnierza. Pułkownik słowa na to nie odpowiedział i rozeszliśmy się; trwało to aż do oblężenia Warszawy. —

Czyniąc często marsze z miejsca ua miejsce o czem wiele byłoby do pisania, poszliśmy pod Górę ztamtąd do Warszawy i pod Kocko na przeciw Gen. Rydyger, którego bylibyśmy zupełnie znieśli, gdyby dowodzący w tym ataku Gen. Jankowski nie kazał się cofnąć. W téj utarczce dowodziłem woltyżerami. Ztamtąd pomaszerowaliśmy ku Warszawie i ku Płockowi, złączywszy się z pułkiem grenadjerów, byliśmy pod komendą gen. Mühlberga.

Po batalji pod Ostrołęką w której nasz pułk nie miał udziału z Płocka, mieliśmy przeciąć komunikacyą przez Wisłę wojsku moskiewskiemu, lecz Moskale pod Toruniem przez pruską granicę przeprawili się przez Wisłę i pomaszerowali pod Łowicz. Nasze oddziały pomaszerowały z Płocka ku Modlinowi i tam przez Kampinowską puszczę, poślismy ku Bolimowu pod komendą gen. Andrychiewicza i gen Mühlberga

i tam cała armja polska polska rozłożyła się. — Za mostem pod Bolimowem pułkownik Francuz (czy gen. Romarino czy Salmaud, tego nazwiska przypomnieć sobie nie mogę), kazał usypać okop przed mostem i mnie wypełnienie tego polecił, ponieważ ja byłem w tym oddziale, co się z nim po francuzku mógłem rozmówić; przez całą noc z moją kompanią usypałem okop a po ukończeniu tej roboty wróciłem do pułku, który o pół mili odległym był. —

Bolimow pamiętnym jest, gdzie przyjechało trzech członków z rady stanu między nimi Teodor Morawski, dwóch drugich nie przypominam sobie. Poleceniem ich było aby oznajmić Gen. Skrzyneckiemu usunięcie go od naczelnego dowództwa i obranie drugiego w miejsce jego. Kazano nam wszystkim starszym oficerom zjechać do Bolimowa, byłem właśnie wtenczas u Gen. Andrychiewicza, kiedy ten rozkaz nadszedł i Gen. mi oświadczył, aby się udać do Bolimowa, ja uczyniłem Gen. tę wzmiankę, że nieprzyjaciel stoi na przeciwko przez błoto a my się mamy od oddziałów oddalić? Uznał moją uwagę Gen. za słuszną, lecz trzeba było wypełnić rozkaz. Udałem się więc zostawiając w zastępstwie Achilesa Brezę oficera, oddając mu dowództwo oddziału. Zebranie oficerów było znaczne, lecz nie uradzono nic i kazano nam wrócić do pułków. Na drugi dzień kazano wystąpić wszystkim pułkom w paradzie. Nadjechał Gen. Skrzynecki z Gen. Dembińskim, który oświadczył, że mu ofiarowano naczelne dowództwo w miejsce Gen. Skrzyneckiego, lecz on przyjąć nie chciał. Wszystkie pułki bez wyjątku oświadczyły się za Gen. Skrzyneckim, że go przyjmą mieć za naczelnego wodza, po tej deklaracyj Generałowie odjechali.

Od tego czasu jużeśmy Gen. Skrzyneckiego nie zobaczyli, a wszystkim pułkom rozkazano maszerować pod Warszawę. Nasz pułk t.j. 13. maszerował w aryergardzie. Kozaki wciąż nacierali na nas, lecz zawsze odparci zostali. Zbliżając się już ku Warszawie, musieliśmy się uformować do boju bo kolumna moskiewska chciała uderzyć siłą na nas, lecz silnie odparliśmy ich i w porządku maszerowaliśmy dalej wstrzymując natarczywości nieprzyjacielskie, w takim porządku iż Gen. Umiński nadjechawszy do naszego pułku pochwalił utrzymanie porządku w odparciu nieprzyjaciela atakującego, w tej rejteradzie dostał się oficer pruski do niewoli, którego do Warszawy wzięto; co się z nim stało nie wiadomo, lecz podobno przed wnijściem do Warszawy powieszonym został. Gdyśmy przyszli do Warszawy obsadzono nas w około Warszawy, z początku pułk nasz dostał się do okopów pod Wolą, drugiego dnia w nocy nagle zmiana nastała, nasz pułk dostał się pod Czerniakowskie rogatki, ja się dostałem trochę dalej i tam zostałem przez cały ciąg oblężenia Warszawy; drugie bataliony pułku rozlokowane były około cegielni i szop aż ku królikarni gdzie Gen. Andrychiewicz stał. — Dzień przed rozpoczęciem ataku zasiadałem w sądzie wojennym, gdzie prezydował pułkownik Niewęgłowski, oskarzeni byli trzej bracia Paproccy, major, kapitan i porucznik przez Gen. Langeomana o uchybienie w służbie. W dzień rozpoczęcia ataku gdyśmy jeszcze zasiadali w sesji dano znać, że forpoczty zaczynają się spotykać od wsi Górczyna właśnie w tej pozycji naszych lunet, prosiliśmy o zawieszenie sesji, prezydujący początkowo zaczął się wstrzymywać, lecz gdy powtórnie dano znać, sesja zawieszoną została a myśmy się udali do przeznaczonych miejsc i właśnie trafiliśmy na pierwszy atak na szopy i cegielnią, gdzie dzielnie batalion 3. pułku naszego odparł moskali. — Dopiero na drugi dzień cała siła nieprzyjacielska uderzyła na Wolskie rogatki od samego rana. Ku południowi pułk huzarów czerwonych uderzył na rogatki Czerniakowskie lecz od okopów, przy samych rogatkach odpędzony, uderzył na nasze lunety, jeden oddział huzarów udał się po grobli ku królikarni a drugi na nasze lunety, ten, co na królikarnią uderzył, został przez Gen. Andrychiewicza zupełnie rozbity a ten, co na nasze natarł lunety, dostał się w dwa ognie. Z jednej strony od strzelców 2. pułku piechoty, a z drugiej z lunety naszej t. j. 69. tak dalece, że ledwie który z życiem uciekł. Pewien huzar przez kapuśniki się chciał ratować, oficer Breza chciał do niego z mego sztucera strzelić, a wtem żołnierz się odezwał„ Panie poruczniku, to do mnie należy, wymierzył do niego i z konia go zrzucił. Już był wieczór gdy przyszedł rozkaz aby się do Warszawy cofać. Miałem dwie armaty w lunecie, tych mi było żal zostawić a konia od nich wzięto do drugich armat. Wstrzymywałem więc mój wymarsz.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Uwagi Krytyczne

E. Calliera

nad

Złotą Księgą Szlachty Polskiéj,

ułożoną i wydaną przez

Teodora Żychlińskiego.

IV.

Bardscy herbu Szaszor.

W przypisku 8, na str. 198, wspomina p. Żychliński o Andrzeju (Bardskim), Kasztelanie Kaliskim, r. 1343, nie powołując się na żadną powagę, nie przytaczając żadnego dokumentu na poparcie swego twierdzenia.

Znani dotąd są kasztelanowie Kaliscy tegoż imienia: z Bnina, z Szamotuł, herbu Abdank i herbu Leszczyc, aż pod koniec XV wieku. O Andrzeju herbu Szaszor, lub z Barda, z Barczewa, z Bardyowa, albo też Bardskim, kasztelanie Kaliskim, nic dotąd nie wiedziałem.

Niesiecki, w poczcie Kasztelanów Kaliskich, wykazuje pod r. 1343 Janka z Kalinowy, który podług Morawskiego umarł już w r. 1330. ad Lineam NB. Pierwszy raz spotkałem się z Andrzejem (Bardskim) kasztelanem Kaliskim, r. 1343, w broszurze p. n. kilka słów o Przewodniku Heraldycznym (Kosińskiego), wydanej bezimiennie przez wydawcę (?) Kodeksu Dyplomatycznego Wielkopolski; ztąd wziął go niezawodnie p. Żychliński.

Zastanowienia atoli godnem jest, że wspomniany Kodeks, Tom II, Nr 1221, str. 551. wymienia pod r. 1343, w tekscie podanego tam dyplomatu, Janusza, kasztelana Kaliskiego; w opisie zaś pieczęci wiszących przy tym dokumencie powiada wydawca, że trzecia z rzędu przedstawia herb Szaszor z napisem „Andree cas.... Poznan“. coby znaczyło: pieczęć Andrzeja, kasztelana Poznańskiego; — a więc byłby Andrzej herbu Szaszor (Bardski?) w r. 1343 nie kasztelanem Kaliskim, lecz Poznańskim, za którego to miano dotąd Andrzeja herbu Ostoja.

Wątpliwości te oczekują należytego wyjaśnienia; p. Żychliński zechce w drugim Roczniku swéj Złotéj księgi poprzeć swe twierdzenie, któremu tu wiary nie dajemy, a nadto zechce powiązać genealogicznie swego kasztelana z r. 1343 z Bardskimi herbu Szaszor.

Przewodnik Heraldyczny Kosińskiego wykazuje wprawdzie Kasztelana jednego z rodu Bardskich, ale pod rokiem 1480, a nie 1343, a więc nie Andrzeja, lecz Florjana Bardskiego, kasztelana Lendzkiego, a nie Kaliskiego.

Druga wątpliwa postać w pomienionym przypisku jest Mściug z Barczewa, wojewoda Poznański i starosta Bydgowski. Powołuje się wprawdzie autor na Okolskiego w tej mierze, lecz nie uwzględnia, czyli raczéj przemilcza powątpiewania Niesieckiego i Kosińskiego,

który Mściuga tego wcale nie policzył do rodziny Bardskich herbu Szaszor.

Co do gniazda rodzinnego Bardskich wywodzą ich jedni z Bardy nad Nisą, a drudzy z Bardyowa na Węgrzech; Łukaszewicz przecież w dziele swem O kościołach Braci Czeskich w dawnéj Wielkiej Polsce, na str. 269, mieni Bardo pod Wrześnią gniazdem tej rodziny; wiele późniéj zrobił toż odkrycie wydawca Kodeksu dyplomatycznego Wielkopolski, za którym niezawodnie poszedł p. Żychliński.

Bardscy pomimo to pisali się jedni z Barczewa, drudzy z Wrześni. Zachodzą też odmienne pisownie; czytam: Barskich, Bardskich i Bardzkich. Nie mięszałoby to szyków heraldykom, gdyby Kuropatnicki nie był wykazał Bardzkich herbu Orla (?) z Wrześni I sufragium*) ziemi Dobrzyńskiéj podpisał Bardzki Stanisław z Wrześni; z Wrześni piszą też niektórzy Florjana Bardskiego herbu Szaszor.

Gdyby nie odmienne herby, twierdziłbym, że Bardscy i Bardzcy jednę tworzą rodzinę; albo też myli się Kuropatnicki, albo przezwał Orłem Szaszora.

OJCÓW.

Niedaleko od Krakowa leży w cudnéj okolicy Ojców, stary zamek sięgający w odległe czasy przeszłości naszéj.

Wiadomo z dziejów, że Wacław, król czeski na zasadzie zmyślonego testamentu przez Gryfinę, wdowę po Leszku Czarnym, dobijając się do tronu polskiego, wszedł z wojskiem do ziemi Krakowskiéj, którą też jak i resztę kraju zagarnął. W roku 1303 pozbawiony berła Władysław Łokietek, wróciwszy z Węgier, gdzie przeciw Wacławowi szukał pomocy, przebywał jakiś czas tajemnie u wiernych sobie Małopolan. Król Wacław chcąc usunąć groźnego, choć władzy pozbawionego przeciwnika, nasadził nań siepaczów. Ostrzeżony o zasadzce Łokietek, nie czując się dość silnym, aby mógł wystąpić jawnie przeciw przywłaszczycielowi, schronił się w niedostępne jaskinie około Krakowa, gdzie przychylny lud żywił potajemnie nieszczęśliwego króla. Kazimierz Wielki, syn Łokietka, objąwszy rządy na pamiątkę tułactwa swego ojca wybudował w pobliżu pieczar zamek i nazwał go Ojciec. Z upływem czasu miano to na Ojców przeistoczone zostało.

Nim broń palną wynaleziono, zamek ojcowski na skale wystawiony, trudny był do zdobycia i dopóki nie przeszedł w ręce starostów, dopóty w dobrym i obronnym utrzymał się stanie. Wszakże już w roku 1620 przed pierwszą wojną szwedzką zrobiona lustracya znalazła Ojców prawie w ruinie. Starosta Michał Korciński przyprowadził go do lepszego stanu, lecz wnet, bo w r. 1655 po zajęciu zamku przez wojska szwedzkie, znowu zrujnowany został.

Zszedłszy kilkanaście kroków na dół po stroméj górze, na któréj wznoszą się mury ojcowskiego zamku, wchodzimy przez szeroki otwór do wielkiéj pieczary, w środku podpartéj filarem przez naturę utworzonym. Długość téj podziemnéj pieczary wynosi 200, a szerokość do 60 stóp. Okopcone ściany i sklepienia, jako też podstawa jaskini, wyłożone są rozmaitemi krystalizacyami. Atoli nieustanni goście, zwiedzający tę pieczarę, złupili ją z osobliwości, jakie tutaj w krystalizacyach przyroda nagromadziła; teraz zaledwie jaki szczątek da się odłamać.

*) Vol. Leg. VII.

W jaskini téj wązki otwór prowadzi do innych pieczar, które się rozchodzą w rozmaitych kierunkach Jedna z tych pieczar zowie się *królewską*. Tu to Władysław Łokietek, ścigany od zażartych nieprzyjaciół, schronił się, tutaj wierni tajemnemi ścieżkami przynosili swemu monarsze pożywienie i zawiadomili go o obrotach Czechów.

Jaskinia ta w roku 1787 widziała jeszcze jednego króla polskiego i to ostatniego. Stanisław August wracając z Krakowa dla obejrzenia tutejszych okolic, wstąpił do królewskiéj pieczary, gdzie według opisu Naruszewicza wspaniale był przyjmowany. Dumając nad nieszczęściami, które ścigały Władysława Łokietka, czy przeczuwał ostatni król polski, że i on jak niegdyś król Łokietek będzie pozbawiony i korony i kraju — i że mniéj szczęśliwy od Łokietka, nigdy do niego nie powróci?

W ostatnich czasach, w roku 1863, podczas powstania zbierały się tu w pieczarach i okolicach Ojcowa zbrojne zastępy ochotników, i robiąc wycieczki, staczały dość pomyślne walki z żołdactwem barbarzyńskiéj Moskwy.

PRZESZŁOŚĆ SŁOWIAN.

(Z Serbskiego Miłosza Popowicza)

tłum. Romana Zmorskiego (z pism pośmiertnych)

Oj bywaliż my, bywali
Czem dziś nie bywamy;
Cośmy niegdyś posiadali,
Tego dziś nie mamy.

Oj! bywaliż my, bywali
Sławnymi Słowiany,
Zwycięzkośmy przeganiali
Turki a Germany.

A dzisiaj zła nasza dola!
Obce kanie, kruki,
Powalczonym, uciśnionym,
Serce rwą we sztuki.

Bywałyż u nas bywały
Króle, wojewody, —
Wojska mnogie głośnéj chwały, —
Język i swobody.

Dziś korony i swobodę
Wzięły najezdniki;
I junaki nasze młode
W swoje wiodą szyki....

Lecz nie smućmyż bracia mili!
Po niedługiéj chwili:
Odzyskamy cośmy mieli,
Będziem czemśmy byli!

„Lech“ wychodzi co sobotę w Poznaniu. Przedpłata ćwierćroczna wynosi na pocztach 2 marki, roczna wprost w redakcyi 8 marek, dla Austryi 5 złr., dla Ameryki 3 dolary. W Poznaniu dla tych, co sami w ekspedycyi (ul. Wodna nr. 15) odbierają, ćwierćrocznie 1 m. 50 fen. Listy dochodzą pod adr. *Lech Poznań.*

Redaktor i nakładca Józef Chociszewski w Poznaniu — Czcionkami H. Schmaedickiego w Poznaniu.